Ner 44. Kraków, 4go Listopada. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł. —	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —	
Kwartalnie .	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł. 40	c. w. a
Półrocznie .	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismow redakcya nie zwraca. Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Kobiety - Obywatelki.

Jak wielkie posłannictwo jest niewiasty w każdym narodzie, najwymowniejsze i najjenialniejsze wypowiedziały usta, i my sami nieraz podnosiliśmy to w zastósowaniu do naszych zacnych Polek. Słusznie powiedziano, że niewiasty są piastunkami nietylko wszystkich najwznioślejszych cnót prywatnych i publicznych, jakiemi się ludzkość odznacza, ale i najdzielniejszemi opiekunkami cywilizacyi, do której rozwoju i postępu przykładają się jak najmocniej. Matki i żony, wychowują one wszędzie, kształcąc w kole rodzinnem młode pokolenia, zagrzewając starsze w cnotach i obyczajach. Matki i żony, są one prócz tego obywatelkami. Mnogie tego przykłady podają nam dzieje wszystkich narodów!

Lecz w żadnym może narodzie nie są one tak przeważnie obywatelkami, jak u nas. Mimo cierpień, jakie przebyliśmy, mimo rdzy która nas przeżyrała, mimo napływu i nacisku obcych żywiołów, które nas wynarodowić usiłowały, jeżeli jeszcze jesteśmy Polakami, naszym to poczciwym winniśmy niewiastom!... W czasach największego zepsucia obyczajów i zamieszania zdrowych wyobrażeń, jakiem się odznaczyła smutnej pamięci epoka narodowego upadku, kiedy za koronowanego Ciołka Warszawa stała się istną bachantką godającą w pijanym szale nad przepaścią, a pierwsi w narodzie stali się kupcami frymarczącemi najdroższą narodu własnością, bo jego niepodległością, i obcym na targ wynosili wszystkie narodu najkosztowniejsze klejnoty, i jego język, i jego wiarę, i jego ducha nawet — w tych to czasach kilka tylko domów, wiekowych a świętych matron polskich, stało się świątyniami, gdzie się chowały stare cnoty i stare podania. W pośród ogólnego zamętu, jaki panował w narodzie rozprzęgającym się w swym starym składzie społecznym, z ust tylko matek naszych płynęła stara modlitwa, i stara pieśń polska, którę... pokolenie po pokoleniu... wynosiliśmy na rozmaite walki i burze. Były czasy po upadku Napoleona, czasy wielkiego zwątpienia, gdy z upadkiem wielkiego człowieka, zdało się nam bałwochwalcom, wiary Bożej pozbawionym, że wszystko już wielkie runęło na zawsze — w których czuliśmy się Polakami tylko pamiątką domku rodzinnego, i łez a czułości matczynej. Tak jest w rzeczy samej, nasze niewiasty, jako kapłanki wszelkich naszych świętości narodowych, okazały się bezwątpienia pierwszemi w narodzie w cnotach obywatelskich.

I dziś, za naszych czasów, któż się najdzielniej przyłożył do rozbudzenia ducha narodowego, jeżeli nie nasze niewiasty?... One są przykładem tej nowej energii i gotowości do poświęceń, w której się odradzamy narodem... być i żyć godnym. Z krzyżem na piersiach, żałobą odziane idą przed nami z jedną ręką ku niebu, drugą ku ziemi zwróconą; z pieśnią pobożnej a narodowej treści na ustach wskazują nam kierunek, jakim się godzi postępować narodowi, który kalwaryjskiem męczeństwem ma odkupić grzechy ojców. I pierwsze idąc z pogodnem a proroczem czołem do walki doczesnej, nie szczędząc krwi, uczą nas poświęcenia — rezygnacyi — wytrwałości!...

Cześć wam, boście wiele uczyniły. Tem też więcej od was żądamy!... Do poświęcenia, rezygnacyi i wytrwałości — by duch narodowy hartu nabrał i treści — trzeba jeszcze jednej cnoty!... Trzeba pracy! zmudnej, ciężkiej, bo cichej i wewnętrznej a wytrwałej pracy!.... Słowo zapału rozgrzewa, unosi; ale tylko szczera praca stale buduje. Ze zapał mamy, tegośmy już dowiedli!... Dowiedźmyż jeszcze, że mamy wytrwałość w pracy!... Łatwiej zapewne zdobyć się na jedną chwilę zapału, choćby ją życiem przypłacić — niżeli na pracę całego życia, której plonem będzie może... jedno ledwie ziarno, co gdzieś pocichu, bez rozgłosu, ale pożytecznie padło na ojczystą niwę. Lecz przyszłość narodu nie z samych chwil zapału się wyrabia, ale z takiej właśnie siejby drobnych ziareczek. Zapałem siebie wynosimy!... pracą budujemy ojczyznę!... Czyliż i w tej mierze siebie dla ojczyzny nie powinniśmy poświęcić?...

Są to niezaprzeczone i szczere prawdy, które, by w sercu narodu zeszły od was niewiasty polskie! zależy.

Matki, żony, obywatelki powtarzać powinny nieustannie to dla nas sakramentalne słowo:

— Pracujcie!...

Matki niech dzieciom powtarzają ciągle:

— Pracujcie!...

I do tej pracy poważnej a ciągłej niech przyzwyczajają w kółku rodzinnem.

— Pracuj! niech mówi kochanka do lubego. Pracą, krajowi poświęconą, zdobyć tylko możem serce prawej Polki!

A żona i obywatelka powie to samo mężowi swemu, i wraz z nim pracować będzie w zakresie domu i społeczeństwa nam najbliższego, dziś dla nas najważniejszym.

Niewiasty nasze zrozumią te słowa, dziś tylko pobieżnie rzucone.

Może później wrócimy do tego samego przedmiotu, i kilka słów poświęcimy tej pracy obywatelskiej, której przewodniczkami radzibyśmy widzieć Polki nasze!

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Śmierć bohaterskiego Henryka Vgo nieosłabiła oręża angielskiego we Francyi. Najezdnicy ogłosili prawowitym królem Francyi zaledwie jednoroczne dziecię pod nazwiskiem Henryka VIgo, którego zastępca tak szczęśliwie wojną kierował, że wnet mógł obledz Orlean.

Miasto Orlean jest kluczem południowej Francyi. Warowne i ludne z dawna panuje nad całą Loarą. Prócz milicyi miejskiej było tutaj w czasie, o którym mowa, około 5000 starego żołnierza, zbieraniny różnych narodów: byli Gaskończykowie pod dowództwem Xaintrailla, La Hira, Albreta; byli Włosi, Aragończycy, Szkoci z 60cioma armatami wałowemi. Mieszkańcy, gotowi do wszystkich ofiar, nałożyli na siebie podatki, lali armaty i... ażeby nieprzyjaciel niemiał stanowisk obronnych, zezwolili nawet na spalenie przedmieści. Miasto samo, z rozległemi przedmieściami, leżało na prawej stronie rzeki. Na lewej jedno było tylko przedmieście, równie obszerne,' a mostem połączone z miastem. Zagrożeni obleżeniem rzucili się do sypania szańców i do zakładania warowni przedmostowych, pracowali dniem i nocą, a gdy im 12go października 1428 r. dano znać, że Salisbury z wojskiem tuż postępuje, popodpalali przedmieścia na wszystkich rogach. Gorzało cztery dni i noce. Przy blasku płomieni Orleanie kończyli roboty szańcowe. Nieprzyjaciel w liczbie 11,000 zajął je jednakże, zamienił w warownie dla siebie, zkąd ostrzeliwał most i miasto. Zginął Salisbury od celnego strzału francuskiego; książę Bedfort wysłał z nowemi posiłkami hrabiego Suffolka na miejsce poległego dowódzcy.

Zrazu obleżenie nie przerażało miasta, które od strony Sologne miało jeszcze dowóz żywności. Robiono wycieczki, fałszywe ataki, wyzywano się na kopije; wodzowie posyłali sobie nawet podarunki nawzajem. Nieprzyjaciel głównie był zajęty robotami fortyfikacyjnemi, które pod zasłoną artyleryi swojej wykonywał.

Minęły święta Bożego narodzenia. Rok 1429 groźniejszą już przedstawiał postać rzeczy. Fortyfikacye angielskie coraz bardziej ścieśniały i zamykały miasto, a dowóz żywności coraz się stawał trudniejszym. Dunois wysłał La Hira do króla z wystawieniem niebezpieczeństwa i potrzeby ratunku. Zwołane stany południowych prowincyj jeszcze 1428 r. zawotowały wprawdzie posiłki, ale ani lenne chorągwie się niestawiły, ani pieniądz nie wpłynął do skarbu. W skarbie było jeszcze 4 talary, które przez pół były własnością królewską, przez pół jego podskarbiego. Król starał się o posiłki szkockie, za które chciał odsiąpić księstwo Berri. Czyniono i inne usiłowania; ale podaremnie. Zwątpiło obleżone miasto o sobie, gdy hrabia Clermont z 2000 żołnierza swego ustąpił z niego, gdy wielki admirał Francyi i kanclerz państwa arcybiskup *reimski*, a nawet biskup orleański je opuścili.

Jedynie w pomocy Bożej pokładano jeszcze nadzieję. Już w lutym 1429 mówiono, że przyjdzie dziewica poświęcona Bogu i uwolni miasto. Dunois sam wątpił, aby się mógł długo trzymać, i posłał do księcia burgundzkiego, aby przyszedł z wojskiem dla zajęcia miasta na rzecz uwięzionego księcia Orleanu. Nieprzyszło wprawdzie do tego; lecz Filip książę burgundzki odwołał hufce swoje, posilkujące Anglików. Obrona Orleanu żywo też obchodziła prowincye południowe, przewidywano bowiem, że z jego upadkiem nieprzyjaciel rozleje się na Poitou, Berri, Bourbon, wyniszczy ich siły, jak to już uczynił Francyi północnej. Angers, Tours i Bourges, miasta, zaopatrywały obleżonych w żywność pokąd mogły; Poitiers i la Rochelle dosłały im znacznych summ pieniężnych, Auvergne i Languedoc dodały saletry, siarki i soli. Wytrwał więc Orlean aż do chwili, w której (29go kwietnia 1429) odbyła do niego swój wjazd posłannica Boża Joanna.

Zajmijmy się teraz opowiedzeniem jej żywota niedługiego, cichego, prostego, pełnego natchnienia, a przy samym końcu pełnego niezwykłego uroku i blasku, którego mu męczeńska śmierć w Rouen w 1431 r. jeszcze przyczyniła.

Joanna Ark urodziła się 1410 lub 1411 w Dom Remy, nieopodal Vauçoncurs, lotaryńskiej wioski, nad rzeką Mazą, w departamencie tegoż nazwiska, przy gościńcu wiodącym do Neufchatau. Chata jej rodziców stała pod pagórkiem, nieopodal od kościoła, w uśmiechającej się dolinie. Ojciec dziewicy zwał się Jakób Ark wieśniak, matka Izabella Romée z Voulton, nieopodal od Dom-Remy. Ta pono dlatego Romée się nazywała, że odprawiła była pielgrzymkę do Rzymu. Joanna miała czworo rodzeństwa i dano jej proste wychowanie, tak proste, że jej nawet pisać nienauczono, i że ją chyba szycia i robienia pończoch nauczono prócz zwykłych kobiecych robót. Jak wszystkim lotaryńskim dziewczętom, tak i jej rozkazywano pasywać jagnięta, zaczem miała dosyć czasu i pokoju do rozmyślań. A że po tamtejszych błoniach i koni na paszy niebrakło, miała więc dosyć sposobności ćwiczenia się w konnej jeździe. Niebrakuje nawet świadectw, że nietylko rodzicielskie ale i obce jagnięta ze wsi pasała, a i przy orce roli pomagała. Wedle świadectw sprawowała się bardzo dobrze. Wszyscy ją chwalą, że trwała w prostocie i mierności, że była dobroczynną, wstydliwą i rodzicom posłuszną. W tańcu najmniej miała upodobania, równie jak i we wszystkich świeckich rzeczach, nieraz rzucała za hałaśliwe towarzystwa swoich rówienniczek, uciekając się do samotnej modlitwy.

Uprzejmością i zachowaniem się, po nikim żadnych względów niewymagającem, pozyskała powszechną dla siebie cześć i miłość; a jeśli ją kto ganił, to dla tego jedynie, że od towarzystw za nadto stroniła, i że była za nadto pobożną. Zdarzało się, że dzwonnikowi w Dom-Remy (jak sam zeznał) przyrzekła nagrodę, aby regularnie dzwoniąc ogłaszał chwilę modlitwy, boć dla niej dźwięk dzwonów bardzo miłym bywał przy pasaniu trzody na błoniu.

Nieopodal koło Dom-Remy stała kaplica Najświętszej Panny Maryi, do której mnóstwo młodzieży pielgrzymowało; nieopodal od kaplicy stał prastary buk; pod nim się zgromadzają bywało niewiasty i dziewice z wioski, bo pięknem bywało o tej porze drzewo wedle zeznań świadków, pięknem bywało jak lilia. W roku 1628 wysławia to drzewo Edmund de Riche, i w swojej kronice tak mówi: gałęzie jego (tego buka) utworzyły łukowe sklepienie i pod ich cieniem można przebywać jak pod dachem jakiego budynku. Lud twierdził, że pod rzeczonym bukiem widywano duchowe istoty z czarodziejskiego świata. Joanna o nich zasłychiwała, ale ich nie widywała. Pod tym bukiem było agrestem ocienione źródło, leczące febry zimne, o czem Joanna nasza upewnia; był tam także w pobliżu ładny dębowy gaj, z którego, wedle proroctwa, miała wyjść cudotworcza dziewica. Nadto niesła powieść, że w pobliżu wspomnionego buka znajduje się *mandragora* (rzecz oczywista, że do języka europejskiego słowo to dostało się z Indyi), roślina o ludzkiej prawie postaci, a osobliwa

ztąd, że za jej pomocą można było wynajdywać ukryte skarby.

(C. d. n.)

Miłostka;

przez

Jana Kantego Szymańskiego.

My tak szczęśliwi — sami,
Tak swobodni i bez trwogi,
Czegóż luba się rozkwilasz?
Czemu trujesz ciągle łzami
Czas rozkoszy — czas tak drogi?
Mój gołąbku, główkę schylasz? —
Wątpisz, czyli twój kochanek
Na tę miłość potem pomnie?
Możesz wątpić? — skłoń się do mnie,
Do wrzącego tul się łona —
Tyś, jak róża w bujny wianek,
W życie moje już wpleciona.

Razem kwitną nam nadzieje,
I chwil resztę spędzim razem,
A gdy wieniec nasz zwiędnieje,
To nad wspólnym, cichym głazem
Jedna gwiazda zajaśnieje.

Droga! droga! kocham ciebie
Tak gwałtownie, tak namiętnie!
Wszystko ci poświęcę chętnie,
Chętnie zlałbym zaraz siebie
W jeden akord, farbę, słowo;
Takbym w duszę twą się wpoił,
Szczęście stwarzał, żal pokoił,
Co na ziemi — i co w niebie,
Co żyjących jest osnową,
Ztobąbym w harmonię spoił.

Prawda luba? — wierzysz mocno? —
Nie drzyj, nie drzyj, bądź spokojną,
To wygląda lilia strojno,
I akacya szatę nocną
Na gazony barwne spuszcza.
Chcesz uniknąć złości wzroku?
Ty obawiasz się wyroku,
Co nikczemna wyda tłuszcza?

Miłość jest kometą lotną,
Kształt jej inny, i byt inny —
Któż jej cechę zna istotną!
Różnie prawi rozum gminny:
To że bojów i klęsk znakiem,
To że błędnym dąży szlakiem...

Więc przyroda bez porządku?
Nasza miłość bez początku?

Bez początku? — któż wybada?
Odkąd istność moją czuję,
Dokąd pamięć ma wypada,
Miłość, miłość mi przodkuje.

Jeszcze w pączku i w rozkwicie
Jeniusz mój cię pieścił skrycie.
Dobroć twą i twą piękność
Tak wielbiłem, tak kochałem,
Takem w sobie czuł tęsknotę
Za najwyższym ideałem,
Aż mi chwile błysły złote,
Kiedy wdzięki twe poznałem.

Ileż siły w piersiach wzrosło!
Lecz co dzierżę — to za mało!
Nieraz wzlatam duszą wzniosłą,
Gwiazdy drobne zbieram śmiało;
I jak perły, na twą szyję
W jasne, długie rzędy wiję —
To za mało! to za mało!
Co potęga ma dosięga;
Więc potęgę weź mą trwałą!
I co zyskam na tej ziemi,
Dzieje, przyszłość, co posiadam:
Zaszczyt, przyjaźń między swemi,
Życie me w twe ręce składam.

Jesteś szczęsną? — wszędzie cisze...
Moja droga! chodź w objęcie...
Niech cię w rozkosz ukołyszę!
O! jak tonę w tym odmęcie,
Jak czarowne głosy słyszę!
W uniesieniu, w zapomnieniu,
Kiedy nieraz nieumyślnie
Po kibici dłoń ma zwiśnie —
Jakto lubo, jak uroczo,
Członki się we falach toczą,
Pod dotknięciem giną, giną.

A tu w łonie źródło bije,
Z niego czerpiesz w oczka ładne
I serdeczne i tak składne,
By w puhary, nektar luby;
Pozwól oczek, niech z nich piję,
Słodycz wyssę, chwilkę żyję,
Aż mnie kir owionie gruby.

To natrętnik cię nieznudzi,
Już go wtenczas nikt niezbudzi...
Będzie leżeć w grobie ciemnym,
Ręce na krzyż, milcząc w grobie,

Będzie śnić, a snem przyjemnym,
Bo o tobie, bo o tobie!

Nad mogiłą stanie wielu,
Którym burze me znajome,
Wspomną ci o przyjacielu,
O zamiarach, o mym celu —
Życie złudne i znikome!

Ach! przynajmniej że przypomną:
„Szkoda! innym pomnik stawiał,
Żył dla ludu, cnotę wsławiał,
Ona teraz wiarołomną,
Od uciechy do uciechy!
Ciągłe tańce, żarty, śmiechy
W zalotników licznym gronie!“

Lecz nie!... daruj!... czucie zbytne
Na bezdroże mnie uwiodło,
Ty nie będziesz nigdy podłą,
Twoje chęci wielkie, szczytne,
I szlachetne twe pomysły.
Niech swawola i rozpusta,
Już wywiędłe zbliża usta,
Ziemskie, słabe uzbrój zmysły,
By w letargu nieuwisły.

To tak lubo, to tak słodko,
Gdzie obłudy, fałszu niema,
Tylko bóstwo przed oczyma,
Tylko szczerość ma pieszczotko!
I niewinność, ufność błoga,
Prawda luba? luba! droga!

My się łączym, tulim mile,
Jakbyśmy się w jedność zlali,
Zlali wieczność w jedną chwilę:
I tej chwili używali!

3go lipca 1834.

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(*Ciąg dalszy*).

Jerzy Poraj do brata swego Zdzisława.

Kalinówka, 12 września 1862.

Od dni pięciu mieszkam już w Kalinówce. A dzisiaj dopiero napisałem do rodziców i piszę do ciebie, kochany.

O tęsknocie, za wami i za moją Ukrainą, nic ci nie powiem; wszystko to za jedno być powinno, czyli to nad Dniestrem, Wilią, Sanem, Wartą lub Wisłą—ja was tutaj powitam, a wy mnie znowu u siebie.

Babka najzacniejsza radaby mi nieba przychyliła — i codziennie jestem w Lobońsku; jadę o 4ej na obiad, i zostaję na herbatę. Później wszelako, gdy się już urządzę zupełnie, odtęsknię i usamowolnię, zmienię ten tryb życia na bardziej *praktyczny* i *obywatelski*.

Pałacyk kalinowski stoi wprost lubońskiego pałacu, poza jeziorem na wzgórzu, i mógłbym tamtejszym mieszkańcom z okna mojego *dzień dobry* przesełać po rosie, powitać chustką białą i ztamtąd odebrać podobnyż znak porozumienia.

Wczoraj dałem objad dla tutejszych włościan. Stoły były zastawione na obszernym trawniku, ocienionym grabiną. Zasiadłem pomiędzy gośćmi moimi, proboszczem i urzędnikami z dóbr całych. Rozmowa z początku była rzadsza, ale ożywiła się potem i stała się ogólną, zacząłem o rolnictwie, o chowie bydła, opowiadałem, com był z różnych pism rolniczych wyczytał, i sypnęły się w koło przeczenia, uwagi oparte na długoletniem doświadczeniu, i na uprzedzeniu niejednem. Była więc od razu dyskusya i ożywiona gawęda. Wniosłem zdrowie zgromadzonych. Następnie proboszcz moje, a serce mi uderzało, gdy jednogłośnie, huczne rozległo się: Niech żyje! wystrzelono z moździerzy, a ponad lubońskim pałacem pogoniło wysoko rac kilkanaście. Po biesiadzie rozpoczęły się tany, i ściskany, noszony, wywinąłem także kilka razy. Poczem wysunąłem się nieznacznie, dosiadłem konia, i pospieszyłem na herbatę do babki. — Był to jeden z najszczęśliwszych dni w życiu mojem, i zdawało mi się, że odtąd dopiero wszedłem na drogę, po której dalej a dalej iść powinienem.

Poczciwy to ten Boży ludek! Nic więc dodać nie potrzebuję.

Pani Bieniewska wielce na mnie jest łaskawą. Zacna to niewiasta. Zresztą nikogo dotąd jeszcze nie poznałem z rodziny. 24go września będzie tu zjazd liczny — i pewnie poznam ich wszystkich.

Z wielką przyjemnością objeżdżam na moim Huraganie rozległe a urodzajne niwy Lubońska! — Odzywa się we mnie coraz wyższe zamiłowanie rolnictwa: ziemia, to nasze bogactwo — to przyszłość jest nasza.

Bywaj mi zdrowy serdecznie ukochany Zdzisiu!
Do widzenia się! zawsze do widzenia!

Jerzy.

Jerzy Poraj, wnuk w prostej linii pani marszałkowej na Lubońsku, został, jako najmłodszy z trzech braci i jako jej syn chrzestny, przeznaczony na dziedzica majętności lubońskiej. Dwaj starsi bracia, Zdzisław i Dymitry, otrzymali ziemię na Ukrainie.

Wysoki, wysmukłej postawy, młody Jerzy, uganiając po bujnych stepach stron rodzinnych na rączych rumakach, nabył tej siły, sprężystości i odwagi, którą z pod kopyt rozbrykanych koni był uratował owego chłopozynę na Nowym-Swiecie. Miał też pięknego, wronego stepowca, przezwanego Huraganem, którego mu wszyscy zazdrościli *sportomeny*.

Ciemno-płowego włosa, siwo-oki, rysów wydatnych, cery zdrowej, z podkręconym wąsem, Jerzy do nader przystojnych należał młodzieńców.

Do szabli i do księgi, do tańca i różańca, młoda wrzała w nim dusza, duch bujał orli, a przytem miękło mu i serce... jakby w piersi niewieściej.

Pani Bieniewska do pani Marzeckiej.

Lubońsk, 18go września 1862.

Wracaj-że, moja Teklo, i przywoź nam Zosię! Pani marszałkowa na 24 b. m. całą zaprosiła rodzinę, i bę-

dziemy mieli festyn nielada. Ciocia w dniu tym wszystkim powinowatym i sąsiedztwu *oficyalnie* chce *zaprezentować* wnuka swojego, pana Jerzego.

A jaki też to zacny, miły i szlachetny jest chłopiec! Babka ginie za nim, i koahamy go wszyscy. Umiał też od razu tak sobie lud ująć, że i wszędzie poszliby za nim.

Pani Wągrowska była tu już dwa razy z Irmą, wyraźnie jest *parol* na Jerzego zagięty, i niestety, uda się pewnie, bo panna jest prześliczną. Wykwintna, salonowa, pełna wdzięku, może oczarować młodego. Mówią zaś, niestety!... że ona mu szczęścia nie da. Przesiąkła obczyzną, nic we własnym nie ceni kraju. Żyje li rozrywkami stolic, dworów, wielkich zebrań i wystawności wszelakiej. Nałykała się setkami romansideł *przeróżnych*, i ani pojmuje, że czytanie *bez wyboru*... jest nagany godnem. Szkoda dziewczęcia! — Pani Wągrowska była zawsze nieoględną, nierozsądną, i próżną aż do najwyższości — ou zaś Bogu duszę winien!

Cioci hołdują, i pozyskały ją sobie, bo pani marszałkowa, przy całym rozumie swoim i prawości, nie uchyla się wszelako dostateczuie z pod uroku Paryża, cesarskiego dworu, Florencyi i Wenecyi.

Dotąd Jerzy nie widział jeszcze Irmy, lecz panie te przyjeżdżają już 22go, i zanim pozjeżdżają się drudzy, kawaler będzie miał dość czasu zaczarować się wdziękami panny.

Nie spóźnijże się, Tekluniu!

Całuję cię serdecznie i moję kochaną Zosię.

Karolina Bieniewska.

P. S. Irma zgubiła tutaj list Zosi, pisany do niej z Warszawy. Jakaż ona nieuważna i lekceważąca wszystko! — Nie mów wszelako Zosi o tem, że list jej jest w moim ręku: nie zniechęcajmy jej do siostry wujecznej.

Irma do Zofii.

Och! och! Otóż i piszę po polsku, a będę się starała pisać poprawnie.

Zosiu, siostrzyczko! Idźże zaraz do której księgarni, i niechaj mi według załączonej notatki nadeślą romanse George Sand, Montepin'a, Frydeau i t. d. — Potrzeba mi koniecznie tego *antidotu* na truciznę nudy.

Byłyśmy raz drugi w Lubońsku, w przejeździe do Roztoczan, bo i pani jenerałowa jest także jakąś babunią, przywiązaną złotą nicią. — W Roztoczanach dwa dni wcale nieźle spędziłam. Było kilka osób *du haut parage;* — goniłam na doskonałym *vollblucie*, należącym do wnuka jenerałowej, i pozyskałam admiracyą; *robiliśmy* muzykę, i nasłuchałam się także dużo zajmujących anegdotek o salonach warszawskich.

Pan Jerzy nie zjawił się jeszcze, pókiśmy tam były. Ale, ale — to bohatyr! Jakiż to heroizm! Zrezygnował... jasną, świeżą rękawiczkę, biorąc konia za cugle, by nie zatratował dziecko na ludnej ulicy Warszawy! Rękawiczkę, oczewiście że rzucić musiał. O, Zosiu! podobne wypadki zdarzają się codziennie w Paryżu — i są to zwyczajności. Ale zawsze ztąd widać, że pan Jerzy nie lęka się konia, i z pewnością do *Jockey-klubu* należy — to go zaleca... a więc gonilibyśmy razem... Aż zaśmiałam się głośno, że mi te *jakieś plany* znowu przyszły na pamięć. Papka ponowił zakaz, ażebym o żadnych *kursach* i koniach nie mówiła, a mama błagała nawet: bo to mogłoby mi zaszkodzić! Więc tylko do ciebie te słów parę. — Nie pojmuję takiej wsteczności!

Do widzenia!

Irma.

(C. d. n.)

Rzeczy Artystyczne.

MALARSTWO.

LEONARDO DA VINCI.

Życiorys i charakterystykę dzieł jego

skreślił

Władysław z Lewartowa Lewartowski.

(Ciąg dalszy).

Dotąd poznaliśmy kilka odcieni z życia wielkiego artysty. Widzieliśmy Leonarda dzieckiem, dalej młodzieńcem pierwszych wiosennych uniesień; teraz zaś rzucimy na niego nieco poważniejsze oko. Będziemy się starali odkryć stronę już wyrobionego charakteru i samodzielnego gieniuszu, i zapoznać z nią szanowne czytelniczki, jako też i z dziełami, w których jawnie odbiła się cała indywidualność artysty.

Ten sam Leonardo, któregośmy co tylko jako młodzieńca pełnego uczuć pożegnali, występuje już teraz jako mąż zupełnego wykształcenia, jako duch badawczy w całem znaczeniu tego wyrazu, jako człowiek pewnego zatrudnienia i uniwersalny. Ów charakter łagodny, którego zaród widzieliśmy jeszcze w dziecięciu, tutaj już rozwinął się w pełni, i zjednał mu miłość współczesnych. Znajomość zaś ludzi, dar przenikania uczuć aż do głębi serca, co jest widocznem w jego utworach, jednały mu poważanie nietylko ziomków, ale i ludzi obcych narodów. Jest to dawna, jak świat prawda, iż to, co człowiek sam w sobie długim mozołem wyrobi, to się *rozmaicie* na zewnątrz wydobywa, i jest jakby zwierciadłem naszej wewnętrznej istoty. To samo widzimy w Leonardzie. Dzieła jego mają cechę jego indywidualności, cechę smętnej zadumy, fantastycznych urojeń, a przyodziane w świeżą nadobną szatę, sprawiają na widzach niepospolite wrażenie. Słowem, dzieła jego mają pewien typ miękkości, owiane jakby tchnieniem łagodnego marzenia, z którego przebija promienny połysk żywota Wprawdzie koloryt w kompozycyach Leonarda jest pomimo wielkiej harmonii nieco słaby, lecz natomiast wyraz charakteru niezrównany. Każdy bowiem stopień wzruszenia, wywołany radością czy cierpieniem, zbadał on nadzwyczaj głęboko, i oddał w swych dziełach z niezrównaną siłą i naturalnością. Najznakomitsze płody pędzla z lat młodzieńczych Leonarda są: *Głowa Meduzy*, której kopia w galeryi Ulfizien we Florencyi; Karton przedstawiający *Neptuna* na wzburzonem morzu, otoczonego nimfami i trytonami; oraz Karton wyobrażający *upadek pierwszego człowieka*. Ten ostatni miał służyć za wzór na portiery, które miały być utkane ze złota i jedwabiu we Florencyi, dla królowej hiszpańskiej; co atoli nieprzyszło do skutku. Karton, darowany przez wuja Leonarda, znajdował się w posiadaniu sławnego domu Ottaniano Medici.

Wszystko to jest nam znane tylko z opisu, gdyż po większej części dzieła Leonarda uległy zupełnej zagładzie, a i tych niewiele było, z powodu wielostronnych czynności artysty i owego przekonania, zwykłego nie-

pospolitym umysłom, iż utwory ich stoją niżej od ich chęci. Przeświadczenie to w wysokim stopniu miał Leonardo; zwykle więc, niezadowolony, rozpoczęte dzieło dawał do wykończenia uczniom swoim, lub też wprost ci... pomysły jego na płótno lub papier przenosili.

Ztąd to namnożyło się tyle malowideł przypisywanych Leonardowi, które nieraz pędzlem jego tknięte nie były. W 1480 r. został da Vinci wezwany do Medyolanu na dwór Ludwika Sforcy, który z zamiłowaniem wspierał nauki i sztuki piękne. Uczeni i artyści garnęli się na dwór księcia, na którym Leonardo, według świadectwa Vasarego, zajmował miejsce muzyka i improwizatora. W tych czasach otrzymał on polecenie założenia *Akademii sztuk pięknych*, co spowodowało go do napisania dzieła o teoryi malarstwa *Trattato della pittura*.

Do roku 1499 przebywał Leonardo na dworze Ludwika Sforcy. Pobyt ten stanowczo wpłynął na całe jego życie, tutaj bowiem poznał cały urok sztuki lombardzkiej, jej miękkość i umiarkowanie w rozwinięciu form, które ta szkoła Paduanom zawdzięcza. Na te czasy przypada najznakomitsze dzieło Leonarda, a tem jest: *Cena* czyli *wieczerza Pańska*, w refektarzu dominikańskim kościoła *Della Grazzia* w Medyolanie. Leonardo przedstawił tu chwilę w której Chrystus wyrzekł:

„Zaprawdę, powiadam wam, iż jeden z was wyda mnie, który je ze mną.“ Na te słowa każdy zdaje się pytać: „Izalim ja jest Panie?“ Na obliczach uczniów zjawił się głęboki smutek. Silne wrażenie, wywołane słowy Pana Chrystusowemi, objawia się pewnem zamieszaniem, w skutek którego tworzą się z uczniów cztery grupy, połączone przecież jedną smutną myślą. Po lewej stronie Chrystusa Pana widzimy powierzchownie silniejsze wzruszenie, podziw, oburzenie, podejrzliwość. Po prawej zaś to samo objawia się spokojniej, jakiemś tajemnem głębokiem uczuciem, zapytaniami, na wpół niememi, jakimś nieznanym nieokreślonym smutkiem, co gdy bardzo głęboko w sercu człowieka utkwi, to się już nie objawia z gwałtownem i chwilowem uniesieniem, lecz ciągłą i ciągłą troską, która ludzi zamienia niby w posągi. W obliczu Boga-Człowieka widać niewypowiedzianą boleść i poddanie się, ręce jego rozłożone, głowa spuszczona na dół znamionuje ten ciężar, co nas tłoczy ku ziemi. W ogóle, w całej tej kompozycyi uderza ścisła harmonia, niezrównana modulacya uczuć, najtrafniejsza gra charakterów, i głębokie tchnienie religijne. Jest tu bowiem przedstawiona niby ludzkość cała. Ile postaci, tyle różnych usposobień, a z każdego oblicza, jakkolwiek ostatecznie przegląda myśl jedna, jedno uczucie, to przecież to tak różnie na jaw występuje. Nie przecenimy tego utworu, widząc w nim całe życie człowieka. Cudnie połączył artysta pasmo dni naszych, począwszy od lubej młodości Jana, aż do siwego włosa Szymona.

Apostoł Jan siedzi tuż koło Chrystusa z zaplecionemi rękoma a głową nachyloną ku Judaszowi. Postać pierwszego dziwnie urocza, tyle tam słodyczy, łagodności, współczucia i cierpienia, pod którem prawie zdaje się upadać. Wszystko to tem wybitniej maluje się obok Iskariota, który z bezczelnością właściwą — zdrajcom, spogląda i zdaje się zapytywać: „Azaliż ja?...“ Jedna ręka jego sięga ku misie, stojącej między nim a Zbawicielem, w drugiej zaś trzyma woreczek. — Cała ta kompozycya, nad którą nieco obszerniej zatrzymaliśmy się, była wykonana na ścianie, 28 stóp długiej, olejnemi farbami. Roku 1500 powódź dużo uszkodziła owe słynne dzieło, gdyż salę woda zalała. Po przejściu różnych losów malowidło to w połowie XVIgo wieku prawie zupełnie wypłowiało, r. 1726 zostało sprofanowane przez odnowienie Bellotego, a r. 1770 pędzlem Mazzy, od czego trzy postacie przynajmniej ocalały. Franciszek I. pragnąc to dzieło uratować od zupełnej zagłady, polecił budowniczym, za stósownym przyrządem, wyłamanie tego kawałka muru i sprowadzenie go do Paryża, co się jednak niedało uskutecznić. W 1796 r., Napoleon w czasie przeprawy przez Alpy rozkazał jak najstaranniej unikać wszelkiego uszkodzenia *Ceny*, lecz jenerałowie nie troszczyli się wcale o to, i refektarz obrócili na stajnią, a później na skład siana.

(C. d. n.)

TEATR.

(Dokończenie).

Od roku 1831 do roku 1860 oprócz towarzystw pp. Nowińskiego i Chełchowskiego, które się najdłużej utrzymały, pojawiły się w różnych latach i miejscach mniej więcej stałe firmy towarzystw: p. p. Aśnikowskiego, Raszewskiego, Piotrowskiego, Stobińskiego, Okociskiego, Szymkajły, Hekerta, Popiołka, Żenopolskiego, Łozińskiego, Krajewskiego, Kłyszyńskiej, K. Królikowskiego, Ratajewicza, Gaweckiego i Barańskiego; o towarzystwie p. Pfeiffra, czasami się u nas pojawiającem na kilkanaście przedstawień, nic pisać nie będę, macie je w Krakowie, to lepiej sądzić możecie aniżeli my; przez krótki czas pobytu jego w Królestwie trudno jest rozpatrzyć się w przymiotach lub wadach jego; co się zaś tyczy zwyż wymienionych panów dyrektorów, po ścisłem rozpoznaniu ich zalet osobistych, powiem śmiało, że wszyscy są na jedno kopyto; wyobrażenia o sztuce mało, zamiłowania do niej jeszcze mniej, a zarozumienia multum; jeżeli któremu z nich szczęście chwilowo posłuży, i zbierze parę tysięcy złotych, nieogląda się na przyszłość, sprawia futra, zegarki, biżuterye, a czasem powóz i konie, co bardzo jego żonie pochlebia; ja sam znam taką panią dyrektorowę, że nigdy na próbę pieszo pójść nie raczyła, nawet po pietruszkę na targ powozem jeździła; ale to tylko pół roku trwało, później, o ile uważałem, wszystkie podobne kursa pieszo odbywała; — otóż pan dyrektor, tak zwany zamożny, jada w najpierwszej traktyerni, zapija wino w najpierwszym handlu, gra w billard w najpierwszej cukierni, i niesiada do tańszego preferansa jak po 10 kopijek punkt, gdy tymczasem jego artyści błąkają się po podrzędnych knajpach, i często za gotówkę a częściej na kredyt piwkiem i sznapsikiem zalewają teatralne trudy i troski; jeżeli się panu dyrektorowi noga powinie, i dochody się urwą, z pierwszych cukierni i handlów i traktyerni schodzi najprzód cichaczem, a później jawnie do knajpy podrzędnej... i tam równa się z swoją młodszą bracią, żapija z nimi piwko i sznapsika, i zdobywa sobie nazwę popularnego dyrektora-demokraty; a podupadli artyści podupadłego dyrektora zaczynają naprzód odgrywać jeden po drugim *benefisa*, a potem rozbiegają się jedni po mieście, drudzy po wsiach z różnemi dykacyami, i wtenczas to publiczność ma sposobność poznać, ile ukrytych talentów przebywało pod firmą nieszczęśliwego dyrektora; niejednego takiego mniemanego autora, spotka nieraz nieprzyjemna konfuzya, jak to miało miejsce u mego przyjaciela pana S. Wszedł młody człowiek do jego mieszkania, przedstawiając mu się jako artysta i autor dzieł dramatycznych, i ofiaruje mu swoją pracę jako protektorowi sztuk pięknych itd. Pan S. przegląda manuskrypt, i przypadkiem natrafił

na dobrze mu znajomy ustęp z Słowackiego, zapytuje pana dedykanta, czy rzeczywiście jest autorem tych piękności? — Rozumie się panie dobrodzieju! — śmiało odpowiada. — A to w samą porę zjawiłeś się mój panie — rzecze pan S. — jutro urodziny mej córki, chciałbym jej zrobić małą niespodziankę, bądź tak łaskaw, siadaj tu, masz tak wielką łatwość do pisania wierszy, palnij ze 40 wierszyków z powodu jej urodzin, ja ci dobrze wynagrodzę, i... żeby ci nikt nieprzeszkadzał, zamknę cię na klucz w moim pokoju, za dwie godziny wrócę z miasta, zapewne do tego czasu już wiersze będą skończone — to mówiąc zamknął go w pokoju i wyszedł na miasto. Śmiertelne poty uderzyły na owego autora, który nigdy w swojem życiu dwóch wierszy nie napisał, bo co innego odpisać z książki cudzą pracę i pozbywać ją jako własny utwór, a co innego samemu wiersze składać. Po dwóch godzinach męczarni autora, powraca pan S. i wchodzi do pokoju, lecz ledwie drzwi otworzył, widzi przed sobą zafrasowanego artystę na kolanach, który ze łzami w oczach przeprasza go, że nigdy w życiu niepisał wierszy i napisać niepotrafi, że bieda go zmusza do przywłaszczenia cudzej pracy i żebraniny w podobny sposób. — Powstań pan — rzecze na to pan S. — żeś nie autorem wierszy znajdujących się w tym kajecie, o tem dobrze wiedziałem, umyślnie cię zamknąłem w tym pokoju, aby ukarać twoją nierozwagę; kradzież literacka jest zbrodnią jak wszystkie inne, nie czyń tego więcej, chociażby w największej nędzy, bo bieda niekrzywdzi nikogo, a czyn, podobny twemu, brudzi przywłaszczyciela i szkodzi nabywcy, który przez brak znajomości literatury ojczystej, niewie co i od kogo nabywa; masz tu kilka rubli na twoje potrzeby, bywaj zdrów, i niebaw się na przyszłość tak brzydkiem rzemiosłem; — na tem się skończyła cała awantura! — Możesz tedy wyobrazić sobie, szanowny redaktorze, na jakim stopniu poniżania stoją dziś nasze teatra prowincyonalne: gdy z jednej strony rozwojowi sztuki okoliczności wcale nie sprzyjają, a z drugiej panowie przedsiębiorcy towarzystw dramatycznych, którzy scenę narodową uważają tylko za stragan przekupki lub dojną krowę, niestarają się wcale o podniesienie instytucyi, której zadaniem jest kształcenie języka i obyczajów, i jednanie czci dla literatury ojczystej.

Na tem kończę mój pierwszy list i t. d.

E. D. 33.

Po kilkomiesięcznej przejazdce wróciło nasze towarzystwo do Krakowa, i dało już kilka przedstawień, które w krótkości podaliśmy w numerze poprzednim. Za nim się wdamy w rozbiór tych przedstawień — rozbiór ciągły i sceniczny, któremu odtąd chcemy poświęcić stałą rubrykę, niech nam wolno będzie powiedzieć kilka słów przedwstępnych, do których daje nam powód pierwsze przyjęcie, jakiego doznało towarzystwo krakowskie, do starego ojczystego grodu wróciwszy.

Przyjęcie to — ze smutkiem to wyrzec wypada — było chłodne bardzo. Dyrektor chciał przywitać publiczność obrazem alegorycznym przedstawiającym: wiarę — nadzieję — miłość. Czy obraz był udały bardzo? — o to mniejsza; był zawsze dowodem dobrych dyrekcyi chęci. Całe towarzystwo stało zgromadzone. Obraz się wznosił pomału, a w sali było cicho i głucho — bardzo cicho i głucho! Aż wreszcie, gdy zaczął padać jakiś deszcz złoty, odezwały się brawa. Czego nie dokazał widok naszej drużyny artystów, co radzi by byli sercem całem przywitać i stary gród, i jego znajomych dobrze mieszkańców, to zrobił udany deszcz złoty. Maż to być godłem dzisiejszego nagięcia umysłów ku materyalizmowi?... Biedna sztuko dramatyczna!... Obsłoń tam czoło wzniosłe, jeżeli zapał ku tobie podbudzać potrzeba płatkami papierowemi, złoto naśladującemi.

Tego chłodnego przyjęcia podawano nam rozmaite przyczyny, które roznosi fama brukowa

— „Dyrektora Pfeiffra u nas nielubią“ — powiadają jedni.

W przyczyny tego nielubienia wdawać się niebędziemy, bo by to nas za daleko zawiodło, i nie piszemy zresztą reklamy, ale dajemy folgę szczerej myśli i również szczerym uczuciom, które nam pióro podały. I zapytamy tylko: Dla czegóż za dyrektora cierpieć ma ją sztuka i artyści?... Czyliż nigdy się już nie wyleczymy z tego naszego nieszczęśliwego, nielitościwego narowu, i nie powiemy sobie: Nie o osoby iść nam powinno, ale o rzecz!...

Zasady zaś tej głównie trzymać się nam należy, gdy mowa o scenie narodowej. Scena narodowa, że jest jedną z pomiędzy najważniejszych instytucyj—u nas mianowicie—jużciż nie trzeba tłumaczyć. To już dziś zrozumie prawie każde dziecko, co dopiero jest przy abecadlniku narodowych pojęć. Przypomnijmy sobie, że był czas, kiedy słowa i myśli polskie ze sceny tylko słyszeć było można, a ich misyonarzami po kraju naszym były to biedne towarzystwa dramatyczne polskie, często bardzo bez ducha, a prawie zawsze bez jutra! Te to towarzystwa, wędrujące po ziemi naszej, były i są po dziś dzień istnemi misyonarzami myśli i uczuć narodowych, rozwiewającemi je słowem polskiem, serdecznem i gorącem. A te słowa, co wylecą z za podartej czasem i lichej kortyny, to są cukry, które lecą w publiczność, padają w serca i łączą je telegrafem solidarnej myśli narodowej. Z takiego stanowiska zapatrujemy się na scenę narodową, a jej podtrzymywanie nietylko jałmużną rzuconego za miejsce grosza, ale gorącą a serdeczną sympatyą, mamy za obowiązek narodowy tem większy, że jego dopełnienie nietylko uczucia dowodzi narodowego, ale i rozumu narodowego jest skazówką.

Skarżą się nieraz na artystów: „Grają źle, zimno!“ i nieraz wiele jest prawdy w tej skardze! Ale się nikt nie chce nad tem zastanowić, że to samej publiczności jest winą, często chłód publiczności działa na artystów, i mrozi i chęci ich, i talenta nawet.

Niechcemy się wdawać w rozbiór obszerniejszy tego pytania: Zkąd jeszcze może pochodzić to zimne usposobienie powszechności krakowskiej dla towarzystwa własnego, które nam tem dziwniejszem się wydaje, gdy wiemy np. o sympatyi jaką otoczone jest towarzystwo lwowskie w swojem mieście.

— Bo towarzystwo lwowskie jest lepsze! — może kto powiedzieć.

Nie wdając się w żadne porównania, wiemy przecie, że i towarzystwo lwowskie nie doznało w Krakowie bardzo gorącego przyjęcia.

Być musi inna przyczyna. My byśmy w części przynajmniej winę tego chłodu zrzucili na nasze krakowskie dziennikarstwo, które się odznacza szczególną apatyą w tej mierze i obojętnością dla sceny polskiej niepojętą. Jak by to było niegodnem pisma poważnego, milczą najczęściej dzienniki nasze o scenie polskiej. A przecież zdaniem naszem scena narodowa jest dla nas ważniejszą od wyprawy meksykańskiej lub zatargów kochinchińskich. Dziennikarstwo polskie powinno stale zajmywać się sceną polską. Gorące a sumienne recenzye, pośredniczące między publicznością i artystami, powinny rozgrzewać i jedną i drugich, i ciepłem poczciwej a domowej pogadanki, jakby przy swojskim kominku, utrzymywać wzajemną między stronami sympatyę.

Inne zarzuty, co do wyboru sztuk mniej lub więcej szczęśliwego, co do repertuaru w ogóle, a w szczególności co do braku sztuk naszych pominiemy tym razem, czyli raczej odkładamy na później, mając szczerą i niezachwianą chęć rozbierania jak najsumienniejszego i najróżnostronniejszego wszelkich i zalet i wad tutejszego towarzystwa dramatycznego.

Przystępujemy teraz do pierwszych przedstawień które przebiegniemy teraz dla braku miejsca nieco spieszniej, rzuciwszy jeno kilka uwag ogólnych na skład tutejszego towarzystwa; uwag, które nam posłużą za podstawę do dalszych recenzyj naszych.

W dwóch pierwszych przedstawieniach grano dwie znane komedye: *Śluby Panieńskie* i *Wąsy i Peruka*. Zarzucano dyrekcyi, że rozpoczęła kurs zimowy od sztuki tak znanej. Pominąwszy, jak trudno jest żądać, by artyści w podróży przygotowali się do jakiej nowej sztuki, zrobimy tę jeszcze uwagę, że *Śluby Panieńskie* Fredry, zostaną wiecznie w każdym dobrym repertuarze, i są niezaprzeczenie komedyą najznakomitszą między naszemi utworami scenicznemi. Co do gry artystów, komedya w ogóle była nieźle odegraną, chociaż nie z zupełną starannością, a wracającym z podróży i zmęczonym przebaczyć należy. Najlepiej odegrane zostały obie role młodych dziewcząt, mianowicie rola Anieli. Panna *Biedrońska* w roli Anieli doskonale uchwyciła, odcieniowała i oddała naiwny i poczciwy charakter polskiej szlacheckiej dziewczyny. W ogóle panna Biedrońska obdarzona talentem wcale znakomitym, przy głosie wdzięcznym i przyjemnej powierzchowności, jest miłym bardzo pojawem na scenie, i prawdziwą tutejszego towarzystwa ozdobą. Ma ona w swoim talencie pewną serdeczność, która się w jej grze najwięcej podobać musi, bo jest znamieniem uczucia, bez którego najlepsza gra będzie tylko prostą rutyną. Panna *Safir* rolę Klary oddała także z życiem; miała nawet piękne chwile, w ogóle wszakże mimo pięknego talentu, który posiada, i który daleko doprowadzić było w jej mocy, odbija się w jej grze często pewne zaniedbanie i chłód niejaki, które przeszkadzają oddaniu całości w odegranej roli. Mającemu talent nie godzi się ustawać; każdy przystanek w tej mierze jest już cofaniem się. Część tej prawdy chcielibyśmy wmówić także i w pannę Biedrońską, która jest jeszcze w tym wieku szczęśliwym, w którym praca i walka są obowiązkiem, a... jak u niej, odpłacić się mogą, bardzo znakomitem stanowiskiem w szeregu naszych polskich artystek. A gdy już mówimy o tutejszych artystkach, wspomnieć się godzi o pannie *German*, w której niezaprzeczenie jest iskra talentu, którą rozdmuchać, pokierować i na pożytek sceny obrócić jest rzeczą dyrekcyi. Jesteśmy przekonani, że w krótkim czasie mogłaby przy ustannej pracy, a chętnym dyrekcyi kierunku znaczne poczynić postępy.

Wracając do ślubów panieńskich o Guciu coś przecie powiedzieć potrzeba. Z Gucia niebyliśmy zadowoleni, lecz pospieszmy powiedzieć z całą szczerością, że dzisiaj we wszystkich z naszych teatrów polskich niema Gucia dobrego. To jest rola śliczna ale trudna nad wyraz, bo w niej łączyć się musi świeżość młodości, z wytrawnością wyrobionego już artysty. Panu *Bendzie* trzeba oddać sprawiedliwość, że czynił co mógł, tylko by się w tej roli z trudnego wywiązać zadania. Dodajmy i to, że zdaniem naszem nie jest to rola właściwa zdolnościom p. Bendy. Ma on role swoje, role wymagające pewnej, serdecznej nawet rubaszności, w których jest doskonały; krakowiak z niego, jakich mało; ale w rolach delikatniej cieniowanych, salonowych jest on niekoniecznie w swym żywiole.

Wspomniemy jeszcze p. *Wolskiego*, który grał *wujaszka*. Pan Wolski ma w rzeczy samej wiele talentu. W rolach charakterystycznych i to nawet w rozmaitych kierunkach, mógłby on doprowadzić bardzo daleko, ma bowiem dobre pojęcie każdej roli, którą weźmie na siebie, poznać to można w chwilach szczególnych, które gdy przeminą łyskawicą, następuje jakaś jakby z szczęścia — czy małodbania. A jest młody jeszcze!... W młodości nam wszystko jeszcze zrobić z siebie można; trzeba silnej woli i męzkiej wytrwałości. Oby p. Wolski przyjął tak do serca słowa te nasze, jak szczerze z serca pochodzą.

W drugiem dopiero przedstawieniu *(Wąsy i Peruka)* wystąpił p. *Królikowski* w roli *wojewodzica bełzkiego*. Witamy go zawsze z serdeczną przyjemnością, i sądu o jego znakomitym talencie dawno już ustalonego powtarzać niemamy potrzeby. Jest on niezaprzeczenie pierwszorzędnym, który na każdej innej scenie piękne mógłby zająć miejsce. Jest to mniejsza z jego ról, ale i ją umie on ożywić i podnieść prawdą gry swojej. Właściwością jego talentu jest w ujęciu roli głębokie rozumienie artystycznych jej wymagań, a w oddaniu, obok uczucia, nadzwyczaj sumienne przestudiowanie wszystkich odcieni i szczegółów. Pan Królikowski mimo słusznego uznania, jakie uzyskał, nigdy sobie zbytnio nie dowierza, i nigdy nie folguje, i to go właśnie czyni prawdziwie pożytecznym artystą, i za co go wyżej cenimy.

Rozbiór sztuk później odegranych, o ile zasługują na to, damy w numerach naszego pisma późniejszych. Lecz gdy wdaliśmy się w ocenienie ogólniejsze tutejszych artystów, dodamy jeszcze słów kilka o całem towarzystwie. Prócz już wymienionych, są jeszcze bardzo zdolne i pożyteczne artystki, mianowicie pani *Bendowa* sympatyczny wcale talent w dramacie i wodewilach, panna *Micińska* do wodewilów i komedyj mniejszych, pani *Krajewska* w rolach matek i innych charakterystycznych prawdziwym talentem odznaczona, pani *Monikowska* do ról matek także, panna *Krajewska* i t. d. Do ról męzkich p. *Delchau* wyborny do ról komicznych, (w wielu z nich odznacza się także) p. *Wisłocki*, p. *Janowski* choć bez samoistnego zapału i ognia, ale zawsze pożyteczny do niektórych ról charakterystycznych (na kochanków za zimny), p. *Baranowski*, który bardzo wiele już postąpił, i jeszcze więcej postąpić może, p. *Krajewski* nareszcie; a między młodszymi pp. *Rakowiecki* do ról ojców, p. *Tatarkiewicz* (ma przy tem do śpiewu głos przyjemny), p. *Dembicki* i t. d., którzy przy pracy mogą się niemało podnieść i stać się scenie pożytecznymi.

Zeszkicowaliśmy w krótkości pobieżną charakterystykę sceny krakowskiej, a to głównie dla tego, aby wykazać, że scena ta ma wszelkie warunki i powodzenia i dobrego bytu. Dosyć cała w składzie swoim, należy niezaprzeczenie do lepszych scen w Polsce. Czegóż więc brakuje, czyli raczej: czego niedostaje? Powiedzmy szczerze, brakuje może zapału, a szwankuje nieraz na zaniedbaniu się. To zepewne wina artystów, lecz i oni są ludźmi!... Trzeba ich sympatyą z zewnątrz rozegrzać. To już znowu rzecz publiczności. Wracając do pierwotnego zadania, powiemy szczerze: Nieco więcej gorącej sympatyi z jednej strony, a będzie i z drugiej strony więcej zapału i wytrwałości w pracy.

Dołączają się mody paryskie za miesiąc październik dla prenumerujących na nie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.